

GŁOS

PRAWDY

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

Adres Redakcji „Głosu Prawdy” S pita.na 1 m. 3 II p.; telefon 295-67.
Godziny przyjęć codziennie, prócz niedziel i świąt od godz. 4 — 6.
Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Rok II.

WARSZAWA, DNIA 19 KWIETNIA 1924.

Nr 32.

* * *

Alleluja!

Radosne bicie dzwonów wyrywa z zadumy uznojone
zbołałe serce Narodu. W świątecznym uniesieniu ducha
krzepkość rozpręża ramiona i myśl rozchmurza dobroczynny
promień pogody. — Człowiek dumnym i radosnym staje się z mo-
zolnej pracy minionych szarych dni. Radosne bicie dzwo-
nów przygłusza wiele trosk i wiele koi bólu.

Alleluja!

Z mogił powstają bohaterzy i idą długim korowodem,
idą lansjery i utany, idzie piechota, kosyniery i w świtkach
idą powstańcy, idą leguny, relutony — idą... a tona od nich
bije i całą Polskę opromienia całunem chwały i męczeństwa,
zorzą wielkości i zwycięstwa. Idą obejrzyć polskie łany, spo-
kojnie żywym spojrzeć w oczy, zażądać z własnej krwi
rachunku... idą sędziowie naszej pracy.

I nie odejdą zasmuceni.

Wiele się błąka wśród nas złego, wiele prostactwa i złej
woli, wiele się jeszcze pleni chwastów i krzywda częstym bywa
gościem, ale to wszystko prochem tylko wobec ogromu dzieł
radosnych.

Rzeczpospolita restituta.

Wszędy wre praca... Rolnik w polu... Kominy dymią...
W szkołach od głów się dziatwy roi... Wzdłuż granic dzia-
rski żołnierz czuwa... Starb się napętnia... Naród się dźwiga
z odretwienia... <http://rcin.org.pl>
Przed Polska przyszłość świąta jasna.

Na zwaliskach caratu.

W ciągu dwóch ostatnich lat pomiędzy centralizmem wielkorosyjskim Moskwy, a dążnościami odśrodkowymi innych narodów toczyła się dość głośna pokojowa walka, która zmusiła rząd moskiewski do pewnych ustępstw. Najnowszym w tym kierunku objawem jest znaczne rozszerzenie republiki białoruskiej, które doszło do skutku z inicjatywy tamtejszej partji komunistycznej.

Do istniejącej republiki białoruskiej postanowiono przyłączyć:

z gub. Witebskiej powiaty: Witebski, Horodecki, Drysieński, Lepelski, Orszański, Połocki, Sienneński i Suraski;

z gub. Homelskiej powiaty: Mohylowski, Rohaczewski, Bychowski, Klimowicki, Czerykowski i Czauski oraz siedm gmin w całości i parę innych częściowo;

z gub. Smoleńskiej: powiat Horecki całkowicie i prócz tego trzy gminy całe, tudzież parę innych częściowo z powiatu Mściśławskiego z m. Mściśławiem.

W marcu odbył się zjazd sowietów połączonej Białorusi, w którym ogółem wzięło udział 694 delegatów. Z tych 45% należało do narodowości białoruskiej, 20% do rosyjskiej, 3% do polskiej i 23% do żydowskiej.

Z cyfr powyższych dość łatwo dojść do wywodów ośmieszających ową republikę i sprowadzających ją do humbugu bolszewickiego. Wszak główna narodowość nie dostarczyła nawet połowy delegatów. Jeżeli dodamy, że obrady toczyły się w języku rosyjskim, że wśród nich były tylko dwa przemówienia białoruskie obok dwóch polskich i jednego żydowskiego, to sceptycyzm co do sąsiedniej republiki, pomimo jej rozszerzenia, wydaje się całkowicie uzasadnionym.

A jednak nie opiera się on na zbyt mocnej podstawie. Można by się powołać na cały szereg faktów odrodzenia narodowego w zeszłym stuleciu, gdzie masa ludowa nosiła w sobie tylko bierne pierwiastki narodowości, a przecież przy sprzyjających okolicznościach doszła do świadomości zbiorowej, stała się prawdziwym narodem. Otóż bez względu na złą wiarę i istotne zamiary Moskwy, samo proklamowanie i odgraniczenie republiki białoruskiej wraz z organizacją jej odrębności musi się stać pierwszorzędnym czynnikiem propagandy i uświadomienia białoruskiego. Nie można stanowczo twierdzić, że z dzisiejszej masy wykrystalizuje się z czasem odrębny naród białoruski, lecz również nie można tej możliwości dogmatycznie odrzucać. Wszystkie istniejące narodowości są wytworem historii, a ta nie skończyła się jeszcze i nie powiedziała swego ostatniego słowa.

Skute żelaznymi więzami caratu, ludy nie mogły się rozwijać samodzielnie i wykazywać swych odrębnych aspiracji. Ale już na długo przed wojną proces różnicowania i wyodrębniania

się narodowości zaznaczał się na ogromnych obszarach rosyjskich, chociaż był bezwzględnie tłumiony ze strony rządu carskiego. Wielkie wstrząśnienie ostatnich lat dziesięciu dały mu nowy potężny impuls.

O Łotwie, albo Estonji, jako niepodległych państwach nie marzyła przed wojną nawet bardzo rozigrana wyobraźnia. Ale przecież różnicowanie i w pewnym sensie rozkład dawniejszej Rosji postępuje dalej. Jakimże powinien być do niego stosunek polityki polskiej?

Wydając słynną odezwę po zwycięskim zajęciu Wilna w 1919 r. Naczelnik wytknął jej zasadniczą linię i wskazał zadania przyszłości, zgodne z naszymi najlepszymi tradycjami. Atoli tym wielkim myśłem i dążeniem przeciwstawił się odrazu ciasny, a krótkowzroczny „realizm“, który uznaje tylko narodowości, posiadające legalizowany paszport państwowy i nie wierzy w twórcze procesy historii. Dla niego nie istnieją żadne potencjalne narodowości pomiędzy Polską, a Rosją, a kwestją wielkich obszarów granicznych, będących widownią wiekowych sporów, sprowadza się do mechanicznego rozgraniczenia między obu państwami.

Tymczasem zasadę porzuconą przez Polskę, podnoszą jej wrogowie i zwracają przeciw niej. Nie twierdzimy bynajmniej, jakoby rozszerzenie republiki Białoruskiej miało wyłącznie cel zewnętrzny na widoku i było tylko manewrem atrakcyjnym dla znacznego odłamu naszej ludności kresowej; raczej jesteśmy zdania, że odegrały tu rolę względy polityki wewnętrznej. Lecz to wcale nie zmniejsza dla nas doniosłości samego faktu, raczej ją powiększa. Bolszewizm, jakkolwiek obłudnie i jednostronnie, przywiązuje do swego koła rozpędowego dźwignię, którą polityka nasza już miała w ręku lecz odrzuciła.

Na zjeździe „połączonej Białorusi“ rozlegały się głosy za przyłączeniem tych, którzy są obecnie „pod władzą burżuazji polskiej“; zwłaszcza wojowniczymi akcentami odznaczały się przemówienia reprezentantów armji czerwonej: Tuchaczewskiego i Dyblenki. Na razie nie należy zbyt precyzyjnie przeceniać magnetycznej siły tego hasła dla białoruskich obywateli Rzeczypospolitej. Nasi przywódcy ruchu białoruskiego mają niewątpliwie dosyć realny światopogląd polityczny, by ryzykować igranie hasłem wyzwolenia z pod „władzy burżuazji polskiej“, gdy otwiera ono jedyną perspektywę dostania się w objęcia „proletarjackiej komuny moskiewskiej“. Wszakże nie trzeba zapominać, że masa białoruska bacznie łowi echa nadchodzące z Mińska i że coraz bardziej pilno jej usłyszeć coś z Warszawy.

Na zwaliskach caratu, skutkiem okoliczności od nas niezależnych, tudzież naszych własnych błędów, wyrastają nowe siły, a my zamykamy na nie oczy i czekamy bezradnie, aż w nasze granice uderzy bezpośrednio niebezpieczeństwo.

G. T.

Nierealni „realiści“.

W Czechach przed wojną nazwę realistów miała ta partja, która niezłomnie stała na straży czeskich praw historycznych i prawa do niepodległości. Jej przywódca Masaryk był wodzem realistycznego krerunku. Zwali się oni zaś tak nie tylko dlatego, że dążyli do zrealizowania nigdy nieprzedawnionych praw narodu czeskiego do wolności, lecz i dlatego również, że wierzyli mocno, iż ich program musi się urzeczywistnić. *Contra spem sperabant...* Rzeczywistość była niezmiernie smutna; nawet kraj zdążył już zatracić jednolity charakter etnograficzny, a oni wytrwale i niezłomnie wierzyli i pracowali. Nie uczyli lojalności względem rządów zaborczych. Gdy nadszedł moment wojny, zwrócili się przeciw Austrii i wystąpili z programem niepodległości Czech. Masaryk musiał uchodzić z kraju i został skazany zaocznie na śmierć za zdradę stanu.

U nas na czele polityki realnej stał od samego początku Erazm Piltz, były redaktor peterskurskiego *Kraju*, uczący popołu ze Spasowiczem, że podstawą naszej polityki powinna być świadomość, iż kraj nasz na zawsze utracił wolność. To było *realne*, zdaniem tego publicysty oraz tych wszystkich ugodowców, którzy szli w jego ślady. Liczba tych *sui generis* realistów stale się zwiększała. Obóz narodowo-demokratyczny, tak niegdyś namiętnie zwalczany przez Piltza w czasach swego ząbkowania, przejął się w latach przedwojennych całkowicie jego polityką.

Jakaż różnica między Piltzem, płaszczącym się nędznie w roku 1897 przed przyjeżdżającym do Warszawy ostatnim carem, a Dmowskim, całującym się na pożegnanie publicznie z Puryczkiewiczem w gmachu Dumy państwowej w dniu 16 czerwca 1917 roku, w tym dniu ponurym, gdy karetki odwoziły do więzienia rosyjskich posłów opozycyjnych, a liczbę posłów polskich zredukowano o połowę?

Sam Dmowski, gdy go zapytywano na parę lat przed wojną, na czym polega właściwie różnica między dawnym ugodowym obozem a narodową demokracją, odpowiadał, że gdy dwaj ludzie czynią to samo, to nie jest to samo. Jeżeli do kompromisu zmuszeni są ludzie i obozy, znane ze swej ofiarnej służby społeczeństwu, to społeczeństwo może być pewnem, że nie zawiodą go oni na manowce.

Tem oświadczeniem pośrednio przyznał Dmowski, że ostatnia przedwojenna faza jego stronnictwa od Piltza bierze początek. Dmowski niejako uświęca ugodę, odciskając na niej stempel narodowej demokracji. Odżegnywanie się od osoby Piltza, który w swoim czasie w kołach warszawskich, bynajmniej nie radykalnych, ulegał banicji, niedługo jednak trwało. Ludzie, którzy szli wspólnymi drogami musieli się spotkać ze

sobą. I już w Lozannie, a potem w Paryżu, Dmowski z Piltzem działają ręką w rękę. Później się spotykają raz jeszcze w palacu Brühlowskim, tym domu naszej hańby, gnieździe bierności, oportunizmu i nieróbstwa.

Piltz—to ojciec duchowy kierunku, który wypowiedział bezwzględna walkę neoromantyzmowi polskiemu, jego dążeniom do przekazywania z pokolenia w pokolenie niezłomnej wiary w zmartwychwstanie narodu, do ocalenia moralnych wartości społeczeństwa, do ustawicznych wysiłków, świadczących, że prawa nasze do samoistnego bytu nie uległy przedawnieniu.

Sięgnijmy do dawnych prac Piltza („Scriptor“, J. Warta). Szukajmy jego złotych myśli? Zacytujmy je na chybił trafił.

Oto co pisze Erazm Piltz:

„Nie ma człowieka w Polsce, z wyjątkiem może zupełnie nieczytalnych, któryby w nowe powstanie wierzył, a tembardziej go pragnął“ („Scriptor“: Nasze stronnictwa krajowe, str. VI).

„...doczekaliśmy się czasów, w których i stosunki międzynarodowe i organizacja państw nowożytnych i rozwój militarystyki tak się ułożyły, że przy nich powstania narodowe i nawet materialne przygotowania do nich stały się niemożliwością“ (tamże, str. 163).

Jak to dziwnie Różę Luksemburg przypomina... Szukajmy dalej!

„Przez te 40 lat wyleczyliśmy się z wielu przesądów i złudzeń. Zaniechaliśmy procesu o spadek historyczny, który długo się ciągnął i dużo nas sił i zdrowia kosztował“ (artykuł w *Kraju*, 15 sierpnia 1897 r.).

A oto inny ustęp:

„Straciwszy, w znacznym stopniu z własnej winy, niepodległość państwową i nie zdoławszy jej, mimo wielkich ofiar i poświęceń, odzyskać, naród polski stanął wobec konieczności dziejowej: szukania w obcych państwach z którymi wiązały go losy, warunków zachowania i rozwoju swego bytu“. („Polityka rosyjska w Polsce“ str. 66).

W te same broszurze odzwierciedla się stosunek Piltza do sprawy bojkotu szkoły rosyjskiej i do taktyki społeczeństwa. Okazuje się, że nawet taktyka narodowej demokracji w Dumie rosyjskiej, która swą ugodowością wywołała powszechne oburzenie w społeczeństwie i stała się powodem upadku Dmowskiego w 1912 r., dla Piltza była zbyt radykalna.

„Większość (społeczeństwa) rozumie, że bojkot szkolny był krokiem błędnym, że droga tak zwanego „faktycznego urzeczywistniania swobód“ była również błędną, że rzeczona ultraopozycyjna działalność reprezentacji naszej w I i II Dumie zaostrzyła stosunek z państwem, że nie tylko spowodowała redukcję liczby posłów polskich, ale wpłynęła też na wzmożenie się represji

w różnych dziedzinach życia narodowego". („Polityka rosyjska w Polsce“ str. 12).

A oto jak Piltz uderza w dzwon alarmowy aby zbudzić czujność społeczeństwa wobec działalności naszej młodzieży, która w danych warunkach nie mogła być inną, niż nielegalną:

„Dla tych wierzeń i dla tych poglądów mielibyśmy mieć tylko wyrozumiałą pobłażliwość? Pobłażliwość to lekceważenie. Cofnijmy się w lata ubiegłe, zajrzyjmy do historii i sprawdźmy, jakie to następstwo spowodowało u nas lekceważenie prądów, nurtujących młode głowy i serca. Podwakroć społeczeństwo nasze przeżyło wielkie katastrofy dziejowe, których zarzewie przygotowały dłonie młodzieńcze. Przypomnijmy sobie, kto wywołał wybuch rewolucji roku 1830? Wywołało kilkunastu uczniów szkoły podchorążych, garść młodzieży, której wierzenia i aspiracje były lekceważone przez starych z taką samą „pobłażliwością“ z jaką dzisiejsi starzy zapatrują się na swoich następców... To lekceważenie — stary, odwieczny błąd narodowy — trwa i dziś z niesłabnącą siłą!“ („Scriptor“: Nasza młodzież, str. 198—199).

Tak wygląda w obliczu wielkich wypadków dziejowych „polityka realna“. Realnym okazał się wyklinany neoromantyzm, który wyszedł z podziemi i opanował swą twórczą mocą wszystkie lepsze żywioły w społeczeństwie, pomimo zgrozy i przerażenia takich, jak Erazm Piltz, gascieli ducha.

Dzisiaj Erazm Piltz, mimo pozornie skromnej roli „konsultanta“ trzęsie polityką ministerstwa spraw zagranicznych, w którym tak jeszcze niedawno był oficjalnym dyrektorem departamentu politycznego. On ją kieruje na tory filorosyjskie i filoczeskie. Lecz czescy prawdziwi realiści biją na głowę tego pseudo-realiste, który nigdy nie sięgał dalej po za koniec własnego nosa i nie odczuwał dziejowego znaczenia twórczych prądów, nurtujących społeczeństwo.

Jakaż to ironja losu! Erazm Piltz nietylko reprezentuje wobec zagranicy państwo, w które nie wierzył i którego nie chciał lecz razem z paru innymi, spokrewnionymi z nim duchami decyduje o tem, komu należy odmówić prawa służenia temu państwu w służbie ministerjalnej.

Ci, którzy walczyli ofiarą własnej krwi o niepodległość, okazują się zbyt cnymi. Najzdátniejszym zaś do zajmowania najwyższych stanowisk okazuje się Skirmunt, który celebrował przy odsłonięciu pomnika Katarzyny II.

Realizm nie zapewnił tym ludziom kariery przy tronie carów, bo nawet tamci niewolników, całujących bat, mieli w pogardzie. Rzeczpospolita Polska wybaczyła im wszystkie błędy i zbrodnie, przytuliła do swego łona, obsypała zaszczytami — i pozwoliła im dalej działać na szkodę polskiego organizmu zbiorowego.

Z Tetera.

Na marginesie krakowskich bomb.

Wszyscy doskonale pamiętają ów okres wiosenny z przed roku, okres, w którym Rzeczpospolitą kierował gabinet gen. Sikorskiego. Narodowa demokracja kończyła właśnie ostateczną redakcję lanckorońskiego paktu, na konwentyklach u senatora Hamerlinga ostatecznie ubijano targ o „postaw czerwonego sukna“... W tym samym czasie w kraju, tu i owdzie, rozlegały się grzmoty detonacji. Jakaś tajemnicza zbrodnicza ręka podkładała paczki z dynamitem pod dom rektora Uniw. Jag. Natansona, pod redakcję krakowskiego „Nowego dziennika“, pod „Żyd. Związek zawodowy“... Bomby grzmiały, sypał się gruz, jęczały szyby, zawały się klatki schodowe. A jednocześnie w prasie, na ulicach, na wiecach wył wszędzie stugębny wrzask o „numerus clausus“...

Policja już była na tropie. A ponieważ krakowska „communis opinio“ wskazywała całkiem niedwuznacznie na sprawców tych zbrodni, tak podrywających wiarę w praworządność i spokój wewnętrzny państwa, przyjechał specjalny delegat z Warszawy, celem przeprowadzenia śledztwa i natknął się przy tej okazji na osoby znane w krakowskim światku, które według wszelkiego prawdopodobieństwa mogłyby mu coniebaż bliższego o tych „komunistyczno-żydowskich“ prowokacjach powiedzieć. Ale panowie ci, jak p. dr. Włodzimierz Abłamowicz, akademicy Hrabyk, Bielecki, Tabaczyński—o niczem zgoła nie wiedzieli, nic udowodnionego na sumieniu nie mieli, przeto po krótkim zapoznaniu ich z warunkami lokalnymi posesji „pod Telegrafem“, obdarzono ich wolnością — tym skwapliwiej, że byli to nietylko patentowani i znani patryjoci, gwarantowani przez wysokie wpływy, ale i w tym właśnie dniu „upadł“ gabinet Sikorskiego, a rządy w kraju objęli „olbrzymi“ skarbowe w rodzaju p. Kucharskiego, inne zaś teki — inni geniusze i potentaci „narodowej pracy“...

Delegat wrócił przeto do Warszawy, bomby w Krakowie — jak uciał — przestały niepokoić „mniejszości narodowe, wyznaniowe oraz patryjne“, a po kraju uwijali się pp.: Płakida, Cechnowski, Marymski i t. p. amatorzy prowokatorzy, gorliwie szukając bomb, z „wiadomego“ arsenału pochodzących...

I cisza, i błogi spokój panował w kraju, w stolicy i na prowincji. Po pewnym dopiero czasie, gdy (jak według słów swego organu), minister Kucharski ukończył wszystkie przygotowawcze prace dla przeprowadzenia reformy i sanacji skarbowej, gdy spracowany gabinet zapragnął spocząć na laurach — ster rządów objął p. Władysław Grabski. Wkrótce też zdekonspirowano przypadkowo p. Pękosławskiego, Macewicza i Gorczyńskiego, zainteresowano się z konieczności kapłanami „świecącymi noże“ na bratobójczą, narodową krew i w kronikach policyjnych zanotowano istnienie Pogotowia Patryjotów Polskich...

Tak było w stolicy. Na dalekiej prowincji panował spokój zupełny, o zeszlórocznych bombach dawno zapomniano, akta tych spraw pokrywał bezpieczny i tani, kancelaryjny kurz. I byłoby w Krakowie dalej tak niewinnie życie płynęło, gdyby nie „pech“ — a właściwie przypadek, który jest rodzicem nie tylko najświetniejszych wynalazków, ale i największych skandali...

Oto, nikomu bliżej nieznanym, Józef Karczoch, krakowski złodziej, zapragnął zapoznać się dokładniej z zawartością stryżka na ul. Kochanowskiego l. 27. Tu go natrętna i wścibska ręka sprawiedliwości „dokończyła“ i przy sposobności wizytacji miejsca „usiłowanego przestępstwa“, oczom zdumionej sprawiedliwości przedstawił się zgoła nieoczekiwany widok. Miast cierpliwie na sznurach schnących adwokackich koszul i nie koszul (strych był wynajęty przez adw. dr. Wł. Abłamowicza), leżał tam sobie stosik rozmaitych różnego rodzaju materiałów i przyrządów... I ekrazyt i dynamit niewinny, lonty, puшки i próbki, wagi, miarki i woreczki, coniebaź rozebranych łusek armatnich, ździebłko piorunianu rtęci — i tym podobne efektowne i efekt wywołujące zbiory. Z prawdziwym zakłopotaniem stwierdziwszy, iż stryżek należy do p. Abłamowicza, mieszkającego zgoła w innej dzielnicy, przedstawicielem sprawiedliwości i porządku publicznego z niekłamanym zażenowaniem, zakomunikowawszy to władzy, zawiesili (nie dało rady inaczej) areszt nad znanym patriotą i z pomocą saperów oraz sprawnych techników przenieśli do zakładów wojskowych ów arsenalik, który zawartością swą wypełnił cały wóz.

Miasto zostało wstrząśnięte, oburzone, a najbardziej młody p. Abłamowicz. Jakto, on „kolekcjonował“ ciekawe okazy, był zapalonym zbieraczem, miłośnikiem, kolekcjonerem — a policja jest tak źle wychowaną i wtrąca się do jego osobistych, intymnych inklinacji. Jednak trudno! Sprawiedliwość chodzi czasami tak dziwnymi drogami, że przymknęła bardzo, a bardzo szanownego p. architekta Zaneckiego, który „kolekcjonował“ cegły z budującego się gmachu P. K. O. — dlaczegoż więc nie miałyby zająć się personaljami p. adwokata za podobne kolekcjonowanie — również własności skarbowej.

Stał się jednym słowem skandal. Nie pomógł ojciec chrzestny i opiekun w jednej osobie, ni mniej ni więcej tylko prezes okręgowego sądu karnego, p. Selz, który Władzia na ręku do chrztu trzymał i od dzieciennych lat był jego opiekunem, nie pomógł sam p. prokurator Sozański, serdeczny przyjaciel „podejrzanego“, nie pomogli inni — choć od dwóch tygodni nie się tu nie robi, tylko dosłownie „cały Kraków chodzi za Abłamowiczem“... Jakoś wychodzić nie może, bo choć Izba Radna już się raz zastanawiała nad ewentualnością uwolnienia zbieracza, choć sam p. komisarz Karcz przestrzega prasę, by tego drobiazgu nie rozdmuchiwała — bo p. Abłamowicz, to „wielki

patryjota“ — to jednak wypuścić go nie można, poprostu nie wypada, gdyż zapalony, naprawdę zwarzowany kolekcjonista, zbierał nie tylko ekrazyt, dynamit, piorunian rtęci, bawełnę strzelniczą oraz lonty i puszki — ale ponadto tajne akta Krakowskiego Korpusu i M. S. W., czyste blankiety wojskowych dokumentów podróży, karabiny, amunicję, broń ręczną i ludzi... Tak, zbierał ludzi — bo jak wół w bruljonie korespondencji osobstej „stoi“ wypisane — że p. dr. Włodzimierz Abłamowicz na każde wezwanie gen. Czikiela byłego, na szczęście, dowódcy O. K. Kraków — może mieć do dyspozycji 280, słownie dwustu osiemdziesięciu ludzi, którzy zdławią ruch strajkowy (a było to jesienią), a nawet gotów jest z ich pomocą wysadzić w powietrze za użyciem swych „zbiorów“ — cztero piętrowy, ogromny gmach „Naprzodu“, Kasy Chorych, Związków zawodowych etc. etc...

Wobec takiej aberacji kolekcjonistycznej, która przez nieostrożność zbieracza, może narazić na szwank spokój publiczny — rzecz prosta „warjata“ należy osadzić w Kobierzyźnie — i dać spokój tej całej głupiej sprawie... — Tak sądzą w Krakowie i tak się w grotesce przedstawia ta niemiała sprawa. Ale społeczeństwo tak na nią nie może spojłać. Musi bacznie patrzeć na rękę karzącą, musi pilnować tej sprawy, a we dzwon alarmowy uderzyć, gdy przyjdzie czas. Bo „arsenał“ p. Abłamowicza jest jeszcze jednym dowodem, do czego doprowadza w Polsce atmosfera morderstw, skrytobójczych kul, święcenia noży, zbierania bomb, gruchotania murów — ta atmosfera zaślepionej, dzikiej nienawiści, jaką roztoczą wokół, w całym kraju Narodowa Demokracja i jej wyznawcy. P. Abłamowicz, zapalony, zagorzały endek, figura S. S. S., szef szajki Pog. P. Polsk. na okręg krakowski, wódz tutejszych faszystów — i jego „kolekcja“, jest jeszcze jednym dowodem, jakimi środkami zdąża Narodowa Demokracja do władzy, jakiego pola szuka, jakimi kroczy drogami.

To też rozpalonego trza żelaza, by tę straszną gangrenę wypalić w kraju do cna. I jeśli jest w Polsce sprawiedliwość dla Bagińskiego i Wieczorkiewicza — musi być dla Abłamowicza.

Gwido.

Gdzie polska racja stanu?

Przegląd Wieczorny doniósł dnia 11 kwietnia z Pragi: „Na otwarciu wystawy ukraińskiej w Pradze przemawiał literat ukraiński Bogacki. Podziękował on w swoim przemówieniu czeskiej opinii publicznej za popieranie ruchu ukraińskiego. Pod opiekuńczymi skrzydłami czeskiemi — mówił Bogacki — emigracja ukraińska mogła rozwinąć swą intensywną pracę dla narodu ukraińskiego“.

„Pod opiekuńczemi skrzydłami czeskiemi...”

A tymczasem polska racja stanu, opluta wyszydzona i błotem — przez płytkich szermierzów szowinizmu — sownie omaszczona, błądzi po bezdrożach dezorientacji, politycznego niemowlęstwa w rzeczach politycznego myślenia, zdystansowana nie na pierwszym już polu przez chłodny i trzeźwy rozum czeski, przed którym, chętnie czy niechętnie, niejednokrotnie wypada schylić czoło.

10. 8.

Zasługi męża zaufania endeckiej w M. S. Zagranicznych.

Organ ziemian z grupy Dubanowicza, a więc nie lewicowców, *Dzień Polski* w № 85 pisze o zasługach endeckiego matadora w M. S. Zagranicznych, niejakiego Zielińskiego:

„Naganka na ministra tchnie partyjną bezwzględnością, nie licząc się z tem, że nie można przecież winić całkowicie żadnego ministra za konjunkturę, jakie zastał, a szczególnie gdy odziedzyczył ministerstwo w stanie rozkładowego zachwaszczenia... wraz z panem Zielińskim. Nie trzeba znać tajników M. S. Z., by wiedzieć, że pan Zieliński zdeorganizował ministerstwo silniej może, niż to uczynili jego poprzednicy, do pana Zbyszewskiego włącznie. Z szaczonej misji odchwaszczania M. S. Z., pozbycia się elementów ujemnych, a powołania dodatnich, **p. Zieliński** nie tylko nie wywiązał się, lecz **skompromitował stronnictwo do którego rzekomo należy, a Ministerstwo doprowadził do stanu nieczynności**”.

„Z dawnej przeszłości rosyjskiej socjal rewolucjonista, z fachu prowincjonalny adwokat, p. Zieliński wziął się nie do swojej rzeczy, bo przyjął wysokie stanowisko vice-dyrektora Departamentu Administracyjnego, gdzie powyższe kwalifikacje nie są wystarczające i gdzie, a szczególnie w Polsce, niezbędną jest gruntowna znajomość zagranicy i kraju, oraz potrzeb placówek i centrali, a zatem wszechstronna kultura i wykształcenie. Obejmując stanowisko, p. Zieliński widocznie nie zdawał sobie sprawy z tego, że wypadnie mu decydować, czy ten lub ów przedstawiciel Polski w państwie, stosunki z którym mogą być dla kraju decydujące, podoba swym obowiązkom, czy też nie; nie pomyślał również p. Zieliński o tem, czy kierownik danego wydziału ministerstwa ma bodaj najmniejsze pojęcie o krajach, wchodzących w zakres jego służby. Te kwestje dla pana Zielińskiego były drugorzędne szczegółami i dlatego je zaniedbywał, a upojony wyimaginowaną rolą dyktatora, ugrzązł w trzęsawisku, które naokoło siebie stworzył. Doprowadził do tego, że uniemożliwił ingerencję w sprawach osobowych swego zwierzchnika i bardzo doświadczonego praktyka, ministra Bertoniego; **mianował ludzi niepowołanych na odpowiedzialne stanowiska, zwalniał lub odsuwał tych, którzy mu ze względów partyjnych lub osobistych nie dogadzali**, pozostając może nieświadomie na usługach czynników, hasłem których jest walka z kierunkiem narodowym; znane nam są całe placówki zagraniczne, nieudolnie obsadzone, a jednak nietknięte przez p. Zielińskiego, pomimo, że mu niejednokrotnie na to zwracano uwagę, natomiast widzimy jeden z najważniejszych wydziałów M. S. Z. dziś zredukowany prawie do zera; widzimy inne wydziały, niestniejące gdzieindziej, prawie zbyteczne, w nietkniętym dziś komplecie; widzimy natomiast fachowych i wydoskonalonych dyplomatów zwolnionych przez p. Z. z krzywdą dla M. S. Z. i bez żadnych powodów. **Zarządzeniami swemi p. Zieliński dyskredytuje M. S. Z. zagranicą**. Tam kwestje personalne decydują ludzie o specjalnej umiejętności i kulturze, którzy umieją zachowywać niezbędną różnicę w traktowaniu poszczególnych wypadków, p. Z. zaś, który mógł tylko studjować sposoby „rugów” w urzędach powiatowych dalekiej Rosji, chce je u nas stosować, nie licząc się często z pełnomocnymi posłami

Rzeczypospolitej akredytowanymi zagranicą. Dlatego też i przeważnie za-
wdzięczając tym „wschodnim systemom“, nazwisko p. Z. zaczyna być coraz
to więcej „popularne“ nawet poza granicami kraju.

„...traktujemy sytuację bezstronnie i rzeczowo i dlatego
twierdzimy, że działalnością swoją pan Zieliński przynosi
szkodę krajowi“.

Prawda o agencji Nord- Sud i p. G. Olechowskim.

W nr. 29 „Głosu Prawdy“ zamieściliśmy krótką notatkę
z powodu zapowiedzianej nominacji p. Gustawa Olechowskie-
go na stanowisko zastępcy szefa Biura prasowego M. S. Zagra-
nicznych, zapowiadając szersze omówienie osoby kandydata
na tak poważne i wpływowe stanowisko. Niezwłocznie po
ukazaniu się notatki, przekonywano nas, że jesteśmy w błędzie.
Nasz informator utrzymywał, że p. G. Olechowski w rzeczy
samej ze sławną agencją rosyjskiej Kwatery Głównej w czasie
wojny — Nord-Sud — nic wspólnego nie miał i że pozostawał
na jej usługach przypadkowo, bardzo krótko i zupełnie bezinte-
resownie.

Sam p. G. Olechowski wystąpił w „Kurjerze Porannym“
z listem otwartym, w którym zakwestjonował istotny charak-
ter agencji Nord-Sud, przecząc jakoby miał coś wspólnego
z t. zw. „razwiedką“; swoją zaś w niej pracę przedstawił, jako
czysto dziennikarską, wolną od domieszki jakiegokolwiek drażli-
wej misji poufnej.

Po bliższem zbadaniu sprawy, musimy stwierdzić, że nasz
informator i sam p. G. Olechowski w swym liście do „Kurjera
Porannego“, pogwałcili obiektywną prawdę i tem samem zmu-
szają nas do skorygowania ich oświadczeń, a to tem więcej,
że opieramy się na źródle publicznem, zainteresowanym dosko-
nale znanem, ponadto kompetentnem i najzupełniej bezstron-
nem. Gdyby nie było na prawdzie oparte, zarówno p. Olechow-
ski, a przede wszystkim p. Adam Zamoyski, mieli dość czasu
publicznie je skrytykować i wytknąć nieścisłości, a tem samem
przeciąć wszelkie na ten temat dyskusje. Trudno wszakże de-
mentować fakty ręką obiektywnego kronikarza zanotowane,
szczególnie, gdy cieszy się on dobrym zdrowiem i może repli-
kować na wszelkie zaprzeczenia od prawdy odbiegające.

Powracając do listu p. G. Olechowskiego, a mianowicie
jego części pierwszej, kwestjonującej charakter agencji Nord-
Sud, trzeba stwierdzić, że według pamiętników sztabs-kapita-
na Generalnego Kwaternistrzostwa, Lemkego, ogłoszonych
p. t. „250 dniej w Carskiej Stawkie“, Petersburg 1920, czytamy
pod datą 9/22 stycznia 1916. na str. 354: „W Bukareszcie, Sztok-

holmie i Kopenhadze, urządzone zostały osobne agentury, znajdujące się w zawiadywaniu Głównego zarządu Sztabu generalnego i noszące nazwę „Agence Telegraphique du Nord et du Sud“. Przesyłane przez tę agencją doniesienia, są przeredagowywane w Sztabie generalnym przez ppłk. Władisławlewa, w wydz. płk. Wodara i codziennie komunikowane płk. Assanowiczowi (Jeden z kierowników „razwiedki“ Sztabu, poprzednio agent wojskowy rosyjski w państwach skandynawskich)... Assanowicz wciąż wyraża nieufność do agentów, podkreślając nieekonomiczne trwonienie wyznaczonych im przez Stawkę sum“.

Tu należy zaznaczyć, że inicjatorem organizacji Nord-Sud'u“, był stale urzędujący w Stawce kornet, hr. Adam Zamoyski oraz dwaj jego pomocnicy, byli reporterzy „Kurjera Warszawskiego“ pp.: Władysław Zalewski i Józef Naimski.

Według dalszych zapisów Lemkego, str. 507, 513, 514, 532, 575 nast. 600, 623, 713, 802 i nast., cała organizacja „Nord-Sudu, znajdowała się stale pod naczelnym kierunkiem gen. kwatermistrza Pustowojtenko, zastępcy szefa żandarmów Druszkowskiego i bezpośrednim kierownictwem płk. Assanowicza, płk. Moczulskiego i ppłk. Władisławlewa, przyczem wszystkie kredyty na Nord-Sud pochodziły z funduszu dyspozycyjnego „razwiedki“ Stawki.

Co do drugiego, t. j. osobistych funkcji p. Olechowskiego. P. Olechowski jesienią 1915, zjawił się w Stawce i tam, dzięki rekomendacji hr. Adama Zamoyskiego, uzyskał poparcie gen. Daniłowa, płk. Assanowicza i aprobatę b. ministra spraw zagr. Nikotowa na objęcie stanowiska agenta „razwiedki“, w charakterze przedstawicieli agencji Nord-Sud w Sztokholmie.

Na str. 480 pod datą 23.I Lemke zapisuje: „Nasz agent razwiedki (po razwiedkie) w Sztokholmie Olechowskij, za listopad i grudzień 1915 przysłał wszystkiego 9 krótkich depeesz, z których można było spożytkować tylko 6 oraz jedno doniesienie (dokład) piśmienne. Teraz prosi się (prosisia) do Szwajcarii... lecz Assonowcz i Pustowojtenko uważają, że to człowiek zupełnie nieprzydatny (nieprigodny)“.

W istocie p. Olechowski uzyskał w lutym 1916 roku, przeniesienie na takież stanowisko do Kopenhagi. Lemke 13.II 1916, str. 509 zapisuje: „Pustowojtenko zawiadomił, że agent Gustaw Iwanowicz Olechowskij, będzie przejeżdżał do Danji przez Torneo, gdzie żandarmaska policja winna okazać mu wszelkie „sodiejstwje““.

Stanowisko p. O. w Kopenhadze, było dość popłatne, Lemke 3.16 marca 1916, str. 600: „Telegramy Nord-Sud z Kopenhagi za luty, kosztowały 173 koron, informacja 3.100 koron. Od 1.14 marca, Kopenhaga będzie otrzymywała po 5.000 rb. miesięcznie“.

Niestety, p. O. wkrótce miał stracić tak piękny urząd, skutkiem własnej nieogłędności. W Kopenhadze znajdował się,

jako tajny wywiadowca wojskowy, urzędujący w stroju cywilnym przy tamtejszym pośle rosyjskim, bar. Buksowdenie, niejaki kpt. Szyszkowski z Warszawy, w którym p. O., nie znając jego urzędowych funkcji wojskowych, widział niewygodnego konkurenta. Będąc wiosną 1916 z raportem w Stawce, p. O., zobaczył tam przybyłego również z raportem Szyszkowskiego w mundurze oficerskim i nie omieszkał natychmiast zademonstrować go władzom żandarmskim, skutkiem czego Szyszkowski w powrotnej drodze, został aresztowany w Petersburgu przez żandarmów.

Nieporozumienie natychmiast się wyjaśniło, gdy Szyszkowski wykazał się misją sztabu generalnego. Po powrocie do Kopenhagi został on jednak powtórnie denuncjacji, p. O. przysłanej do barona Buksowdena. Niemiła ta afera, położyła, narazie, kres działalności p. O.—Lemke d. 20 maja 1916, str. 829: „W Kopenhadze sprawa (dzieło) Nord-Sudu, zlikwidowane. Rozkazano wobec zmęczenia („utomlenja“) p. Olechowskiego i trudności jego roboty, wrócić mu do Rosji“.

P. O. jednak pozostał i potrafił w innym charakterze służyć w dalszym ciągu, a nawet otrzymać kwotę 10.000 koron na wydawanie biuletynów informacyjnych. O dalszej jego i innych osób działalności, może jeszcze wypadnie ciekawsze podać szczegóły.

Lemke, str. 509: „Sysk za syskom, łakowa wsia Romanowskaja sistiema uprawlenija“.

Jak za czasów St. Zielińskiego w M. S. Z. na Wierzbowej.

Potępienie nacjonalizmu.

„Trzeba przede wszystkim leczyć ciężką chorobę umysłową, która nurtuje wielką część cywilizowanych społeczeństw naszego kontynentu — obłąd nacjonalistyczny. Nacjonalizm ogłupił i znieprawił współczesnego człowieka, rozpałił w nim instynkty godne dzikiej bestji. Już religijny fanatyzm, który operował bądź co bądź pojęciami tak wysokiego rzędu, jak życie wiekuiste, łatwiej wyrozumieć i usprawiedliwić, niż fanatyzm narodowy, który w imię poprostu podobnych lub niepodobnych do siebie dźwięków językowych dochodzi do potworności w rodzaju słynnego wskazania katechizmu wszechniemców (Polen und Deutsche, 1902): „Wszystko jedno, prawo czy bezprawie, zawsze stawaj po stronie ziomka“.

Antoni Chołoniewski. (1920).

Próbka politycznego myślenia.

Rzeczpospolita w № 100 zamieszcza następujący wierszyk, pióra jedne ze swoich pereł redakcyjnych:

„Gdybym był Włochem, dziewczyno,
Choćby troszeczkę...
Rycynu dałbym
Jasiowi dużą szklaneczkę,
A innym beczkę...

Czerwonych wziąłbym za **morde** (!)
Makaron jadłbym co rano,
Mniejszościowców horde
Miałbym za **guano** (!)
Se fossi... Italiano...“.

Kto nie wierzy, że podobnie chamskie i łobuzerskie elukubracje mogą się ukazywać w naczelnych organach prasy stronnictwa politycznego pretendującego do pierwszego w narodzie głosu, niech przejrzy uważnie wskazany na wstępie numer „*Rzeczypospolitej*“.

Junosza Gzowski, jako rosyjski dziennikarz.

Junosza Gzowski, dzisiaj Gzowski, jeden z najzawziętszych paszkwiłantów na usługach endectwa, w 1919 i 1920 roku był wydawcą rosyjskiego dziennika w Mińsku — *Miński Kurjer* i Nr. 157 tak polemizował z *Gazetą Warszawską*:

„Tak, panie Cichocki (korespondent *Gaz. War. — P. R.*), jeśli ktoś pójdzie pańskimi śladami, jeżeli rosjan, białorusinów i żydów będzie uważał za parjasów tej ziemi i liczyć się wyłącznie z nastrojami polskiego żywiołu (*polской narodnoj massy*), wydając wyłącznie jemu patent na przywileje, to trzeba będzie obawiać się o powodzenie polskiej polityki na ziemiach Wschodnich. Ja sam jestem polakiem (!) (wprawdzie nie władam tak wspaniale polskim językiem, jak p. Cichocki), korzę się (*prekłoniam się*) przed polską kulturą, lecz stanowczo rezygnuję z patentu, który nam polakom proponuje p. Cichocki. Rezygnuję, ponieważ ani na chwilę nie zapominam słów naszego Wodza p. Józefa Piłsudskiego. „Kresy — to miejsca, na których spotykają się ze sobą blisko narody z narodami, jedna kultura z inną. *Kresowa polityka polska przedewszystkiem winna być szlachetna.*“

„W końcowej części swej korespondencji, autor porusza sprawę personalu urzędniczego naszego okręgu, mówi o metodach obsady stanowisk i kwalifikacjach wymaganych od kandydatów. W tym miejscu p. Cichocki nieco przeszarżował. Nie należy obwiniać naszej władzy o zbytek liberalizmu, którym sama nie grzeszy. Jeżeli istnieją obawy, to jedynie co do tego, że koło (*koleso*) władzy często zbyt gwałtownie zawraca z lewa na prawo. W demokratycznej Polsce takłe zwroty bywają niebezpieczne.“

Ciekawości czytelnika pozostawiamy trud zapoznania się z tem, co po zmianie chlebodawców, wypisuje dzisiaj wczorajszy pół polak pół rosjanin wydawca rosyjskiego *Mińskiego Kurjera*. Będzież to z pożytkiem dla właściwego orientowania się w ludziach wynajętych do sławienia zasad i ideałów endecckiego nieporządku rzeczy, uwieńczonego mogiłami przez prawowitą władzę *Rzeczypospolitej* i z wyroku sądu rozstrzelanych lub cele więzienne zamieszkujących bohaterów.

Wątpliwa to idea, którą z braku szczerych i bezinteresownych kapłanów, musi uciekać się do pomocy najemnych i profesjonalnych agitatorów.

W. S.

Zjazd Wolnej Wszechnicy Polskiej i b. Towarzystwa Kursów Naukowych.

W końcu maja r. b. odbędzie się Zjazd wszystkich profesorów i studentów W. W. P. i Tow. K. N., specjalnych Kursów i Uczelni, które przy W. W. P. i T. K. N. istniały, oraz członków i sympatyków wymienionych uczelni. Celem Zjazdu jest ustalenie dorobku naukowego i społecznego tych Instytucji jak również nawiązanie kontaktu między wspomnianymi osobami. Uprasza się wszystkich zainteresowanych i pragnących wziąć udział w Zjeździe o zgłaszanie się osobiste lub listowne (w tym wypadku dokładny adres) do Biura Zjazdu mieszczącego się w Warszawie przy ul. Śniadeckich 8 w lokalu W. W. P. i czynnego w godzinach 10—12 przed poł. w terminie od dnia 15-go kwietnia r. b.

Tymczasowy Komitet organizacyjny stanowią: Rektor prof. Stanisław Kalinowski (przewodniczący), prof. Ludwik Krzywicki, prof. Ryszard Błędowski, Halina Hejdukowska-Sadkowska, Wiktor Rosiński, Tomasz Piskorski i Henryk Jędrusik (sekretarz).

Odblaski mądrości gasnącego Rzymu.

Utalentowany poeta i natchniony bajkopisarz, Juljan Ejsmond, przełożył świeżo i wydał tomik poezji o 19 wieków starszego kolegi, wielkiego rzymianina Petronjusza, poetę i najwytworniejszego kochanka, etatystę i elegancji niedoścignionego arbitra.

„Pieśni Miłosne“ — tak tomik zatytułowano — pełne są odbłasków mądrości gasnącego Rzymu. Obok strof dyszących żądzą gorącą, namiętną, obok hymnów miłości w ofierze składanych znajdujemy pieśni Petronjusza — myśliciela i Petronjusza — wieszczka.

Posłuchajmy chociażby pieśni zatytułowanej „Szczęśliwe życie“ (*De vita beata*):

Błędzisz szukając szczęścia tam, gdzie są same zgrzyoty.
Nie jest szczęściem swe ręce zdobić w świecące klejnoty,
spoczywać na drogim łożu, na miękkich puszystych piórach,
pić z naczyń złotych i siadać na drogocennych purpurach.

Nie jest szczęśliwy kto potraw tysiącem stół swój pokrywa,
ani kto w spichrzach swych mieści bogatej Afryki zniwa,
lecz ten, kto umie zachować pogodę śród kłesk żywota,
kto gardzi łaską, którą darzy nikczemna hołota.
Kto może na obnażone miecze spoglądać bez trwogi,—
ten jest szczęśliwy na ziemi i los pokona złowrogi...

I jeszcze strofy wieszczę pieśni „Na zepsute cbyczaje” (*De corruptis moribus*):

W ciemne przepaście, gdzie umarłaś, Słowo,
młodzież nas dzisiaj ciągnie i porywa.
Z kałuży bagna co cuchnie plugawo
zgraja hołoty skarby wydobywa.

Niewolnik stał się bogactwami sławny.
Jeniec ma dzisiaj dom przy którym ginie
Romulusowy pałac starodawny,
przy którym błędną Jowisza świątynie.

Cnota w ohydny bagnisku umiera.
Stary Rzym gaśnie jak ginące słońce...
A Czarna Zbrodnia w chmurach rozpościera
do lotu skrzydła swe tryumfujące...

Te dwie pieśni przeczą dzielącym nas od ich autora 19-stu wiekom. To jakby wczoraj ręką, głęboko w dzisiejsze społeczeństwo wpatrzonego, myśliciela skreślone strofy. To mądrość życia świeża, mocna, niewzruszona, choć stara, i z pod pyłu zapomnienia ręką poety szperacza na światło dnia wydobyta. Ładna to zasługa Juljana Ejsmonda, że nam Petronjusza przypomniał i tak pięknie przetłómaczył.

w. s.

Wydawnictwa nadesłane.

OSTATNI SZLACHCIC — ALEKSANDER HRABIA WIELOPOLSKI
MARGRABIA GONZAGA MYSZKOWSKI — *I. Grabiec*, studjum historyczne.
Tom I, str. 338, tom II, str. 404. Nakładem T-wa Wydawniczego w Warszawie
1924 roku.

CICHY ALARM — *Bruno Winawer*, zbiorek najcelniejszych, skrzących
dowcipem i chumorem nowelek i feljetonów: Uśmiech Europy, Abdera Pół-
nocy, Do złotej Pragi po złote runo, Paralele, Zielony krawat, Duchy
w mieście, La donna é mobile, Rozmówki Warszawskie, Teatr i kino, Yan-
kee doodle, Pietrzak, Wieś i miasto, i wiele innych. Nakładem księgarni
M. Ostaszewskiej i S-ka Warszawa 1924.

USTRÓJ PAŃSTWOWY RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ — dr. *Mi-
chał Wyrostek*. Wydawnictwo Warszawskiego Oddziału Towarzystwa Uni-
wersytetu Robotniczego, Warszawa 1923 r.

TREŚĆ № 32-ego: * * * Na zwaliskach caratu — *T. G.* Nierealni
„realiści” — *Z. Tęba*. Na marginesie krakowskich bomb — *Jan Guido*.
Gdzie polska racja stanu? — *w. s.* Zasługi męża zaufania endecji w M. S. Z.
Prawda o agencji Nord-Sud i p. G. Olechowskim. Próbką politycznego
myślenia. Junosza Gzowski jako rosyjski dziennikarz — *w. s.* Odblaski
mądrości gasnącego Rzymu — *w. s.* Połępienie nacjonalizmu — *Antoni Cho-
łoniewski*. Zjazd Wolnej Wszechnicy Polskiej i b. Towarzystwa Naukowego,

Warunki prenumeraty: Prenumerata miesięcznie 1.600.000 Mk.
wartalnie 4.800.000 Mk. Zagranicą kwartalnie 7.200.000 Mk.

Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności Nr. 3288.

Redaktor i Wydawca: **Wojciech Stpiczyński.**

Druk. Spółki Wydawniczej Powszechnej Szpitalna 1.